Jacek Getner

LIRA
WYDAWNICTWO

Komedia kryminalna z Jackiem Przypadkiem w roli głównej

DZIESIĘCIU MULATKÓW

Przypadek chodzi po ludziach...

DZIESIĘCIU MULATKÓW

Jacek Getner

DZIESIĘCIU MULATKÓW

LIRA
WYDAWNICTWO

Wszyscy pisarze kryminałów występujący w tej książce to postacie fikcyjne, poza tymi, którzy noszą własne nazwiska.

Podobieństwo pozostałych do prawdziwych osób jest niezamierzone.

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67388-75-7

Rozdział I
Dziesięciu Mulatków

Wszystko, co najmodniejsze w stolicy, siedziało każdego popołudnia i wieczora w Diabelskim Kotle. Autor daruje sobie jednak szczegółową charakterystykę bywalców tego jakże popularnego lokalu. Współczesne mody mają bowiem to do siebie, że przemijają zwykle tak szybko, iż zanim skończy tę książkę, wszystkie ubrania, fryzury, poglądy oraz każda inna rzecz, z którą się manifestacyjnie obnosili, skończy już na śmietniku historii, odchodząc w słuszne zapomnienie. Za cały ich opis niech wystarczy to, że byli to ludzie zawsze na czasie, a Czytelnik w trakcie lektury nałoży sobie na ich osoby najnowsze trendy.

Taki też był Arnold Niedobijczuk, personal manager Polskich Książek, siedzący nad sojową latte i czytający w „Nowym Życiu" o głośnym ostatnio zabójstwie Eleonory Pahl: *Zwłoki denatki (65 l.), znanej kolekcjonerki dzieł sztuki nowoczesnej, zostały znalezione w jej mieszkaniu. Policja na razie nie ustaliła, co było motywem zbrodni. Z mieszkania zniknęło niewiele przedmiotów, między innymi niezwykle cenna rzeźba „Wenus i trzech kochanków"*

Pabla Krulikowskiego. Głównym podejrzanym jest według policji wynajmujący u denatki pokój Jan Kowalski (25 l.) (zgodził się na podawanie nazwiska)…

„A dlaczego miałby się nie zgodzić! — pomyślał Arnold Niedobijczuk, odkładając gazetę. — Przecież Kowalskich tu jak psów. Za to Afropolaków tyle, co kot napłakał…"

Ta myśl spowodowała, że znów zaczął się zastanawiać, do kogo w tej chwili zadzwonić z pytaniem o pracę. Nie, nie był bezrobotny. To znaczy jeszcze nie był, bo jego wypowiedzenie znajdowało się zapewne w komputerze działu kadr światowego giganta wydawniczego — Universe Book, które pośrednio, przez spółkę Polskie Książki, było jego pracodawcą. Wręczą mu je najpóźniej za dwa tygodnie. Wtedy zadzwoni do niego z Londynu pan Jonas Mtambo i zapyta, czy już zatrudnił w dziale redakcyjnym kogoś co najmniej z pięćdziesięcioprocentowym udziałem afrykańskich korzeni, a Niedobijczuk będzie mógł tylko bezradnie rozłożyć ręce. Na nic się zdadzą tłumaczenia, że w Polsce ciemnoskórych mieszkańców jest ułamek procentu, a on już i tak dokonał cudów, znajdując dziewięć osób pracujących obecnie w dziale dystrybucji, promocji i marketingu oraz handlowym.

Pana Jonasa Mtambo nie wzruszy również to, że Polskie Książki to w tej chwili jedyna firma w tym kraju, gdzie biali heteroseksualni mężczyźni stanowią

ledwie jedną piątą zatrudnionych, a Arnold Niedobijczuk musiał się nieźle namęczyć, wyszukując przedstawicieli odpowiednich mniejszości rasowych i erotycznych, czasem nawet przymykając oko na to, że ich kompetencje nie do końca odpowiadają powierzonym zadaniom. Niestety, w wypadku pracownika działu redakcji wytyczne globalnej czapy były równie nieubłagane jak przy doborze rasowym. Korektorem mógł zostać tylko ktoś, kto ukończył miejscową filologię. Czyli w Polsce musiał być polonistą.

Jeszcze kilka tygodni temu Arnold Niedobijczuk miał nadzieję, że przeglądając spisy absolwentów filologii z całego kraju, w końcu natknie się na taką osobę. Ale żadne z nazwisk z ostatnich dziesięciu lat nie dawało nadziei na afrykańskie korzenie ich właściciela. Dlatego pogodzony był już z tym, że wkrótce straci pracę. Musiałby się zdarzyć cud, a jako zdeklarowany materialista nie uznawał sił nadprzyrodzonych. Chociaż z drugiej strony, gdyby Pan Bóg, w którego nie wierzył, zechciał mu ten cud zesłać, to on mógłby łaskawie w niego uwierzyć i nawet pójść kiedyś do kościoła. Może nie od razu na mszę, ale jajka poświęcić.

Ale cuda się nie zdarzają…

— U nas na polonistyce… — Arnold usłyszał ten tekst jednym uchem i zerknął w stronę stolika, skąd padły te słowa.

Zobaczył tam dwóch brodaczy z modnie ufryzowanymi włoskami, którzy słuchali trzeciego kolegi, odwróconego w tej chwili do Niedobijczuka plecami. Ten trzeci miał na sobie bluzę dresową z narzuconym kapturem i to pozwoliło personalnemu z Polskich Książek popuścić nieco wodze fantazji i zobaczyć w nim czarnoskórego rapera po polonistyce. Dlatego kiedy Arnold ujrzał dłoń w kolorze hebanu sięgającą po szklankę na stoliku, pomyślał, że powinien ograniczyć nieco środki, którymi od czasu do czasu starał się poszerzyć swoją niezbyt wielką wyobraźnię. Na wszelki wypadek przetarł ręką oczy, ale palce wystające spod rękawów bluzy wciąż były czarne!

Niedobijczuk poczuł się nagle mocno wierzący i błyskawicznie stanął obok stolika, chcąc sprawdzić, jakiego koloru twarz kryje się pod kapturem. Nie mogło być wątpliwości. Wprawdzie w rysach pojawiał się jakiś ślad europejskości, ale dużo więcej widać w nich było afrykańskich korzeni.

— Mam cię! — zawołał ucieszony, a w duchu jeszcze dodał: „Mam dziesiątego Mulatka!".

Na wszelki wypadek chwycił też za ramię siedzącego, aby mu nie uciekł, a może aby ostatecznie się przekonać, że nie jest wytworem jego wyobraźni.

— Ja tego nie zrobiłem! — zaprzeczył energicznie Mulat.

— Zostaw go, rasisto! — krzyknęła nagle histerycznie dziewczyna siedząca obok Mulata. Miała na policzku trzy świeże blizny, jak kiedyś Bruce Lee w filmie *Wejście smoka*, a sama wyglądała nie mniej groźnie niż mistrz sztuk walki. — To nie on ją zabił! To jej wnuczek faszysta albo ten sąsiad trep!

Wrzeszczała dalej, ale Niedobijczuk tego nie słyszał, bo był jak w transie. Chwycił mocniej Mulata i chciał go zaciągnąć do swojego stolika. I może by mu się to udało, ale dziewczyna go odepchnęła. Stracił równowagę. Posiadacz bluzy wykorzystał to i błyskawicznie ruszył do drzwi wyjściowych.

Niedobijczukowi zrobiło się gorąco. Jego dziesiąty Mulatek wybiegł na ulicę. Rzucił się za nim, roztrącając wszystkich po drodze. Na ulicy zauważył, jak chłopak znika za rogiem. Krzyknął: „Stój!", ale uciekający nawet się nie zatrzymał. Za to Arnold miał wrażenie, że nie jest jedyną goniącą osobą, co nawet go ucieszyło, bo zwiększało szansę sukcesu. A ta nie była zbyt wielka. Uciekał przed nim facet młodszy o piętnaście lat, na dodatek wywodzący się z kontynentu, z którego, bezpośrednio lub pośrednio, pochodzili najlepsi sprinterzy i długodystansowcy świata.

Szczęście zdawało się jednak sprzyjać Niedobijczukowi. Mulat potknął się o krawężnik i choć szybko się podniósł, to wyraźnie kulał, a na dodatek

brakło mu koncepcji, dokąd ma uciekać. Dlatego po dwóch minutach Arnold, ledwie dysząc, stanął naprzeciwko niego w ciemnym zaułku.

— Nie bój się, nic ci nie zrobię. Mam dla ciebie propozycję świetnej pracy. Posłuchaj…

Niestety, zanim Niedobijczuk zdołał wyłożyć swoją ofertę, ktoś go uprzedził.

— Nie ruszać się, komisarz Dynda, Komenda Stołeczna! Podnieś ręce i odwróć się do ściany! — Zza pleców personalnego Polskich Książek odezwał się zdecydowany głos. — Janie Kowalski, jesteś aresztowany pod zarzutem zabójstwa Eleonory Pahl!

Młody bóg seksu, obecnie wciąż w stanie absolutnego spoczynku, przeciągnął się leniwie. Patrzył przy tym na swojego przyjaciela, który właśnie, jak po każdym biegu, rozciągał się przy jego biurku stojącym w kancelarii Kolska & Sakowicz. Tak naprawdę jednak nie zauważał jego obecności pochłonięty własnymi egzystencjalnymi przemyśleniami. Dlatego czekał spokojnie, aż Jacek skończy wykonywać swoje ćwiczenia, i dopiero wtedy westchnął refleksyjnie:

— Wiesz, nie mogę uwierzyć, że za dwa tygodnie już nie będę kawalerem. — Błażej Sakowicz zabębnił palcami w blat biurka. — A najdalej na początku czerwca będę już ojcem. Kończy się człowiekowi młodość! Dobrze, że chociaż jej trochę poużywał.

— Nie marudź, powiedz lepiej, jak było w tym Głogówku.

Z tego miasta pochodziła rodzina przyszłej żony młodego mecenasa, redaktor Anny Sobani.

— Całkiem miło, bardzo sympatyczne miasteczko — ożywił się Sakowicz. — Mają przepiękny pałacyk Oppersdorfów. Bardzo ciekawa kaplica Grobu Pańskiego. No i śliczne kościoły. Jeden mieści się w dawnym szpitalu, niesamowicie wygląda od frontu. A dwa większe stoją koło rynku, takie więcej barokowe, a jeden to właściwie rokoko. No i domek loretański jest w jednym z nich. Dawniej był osobno, ale dobudowali skrzydło kościoła i teraz to taka kaplica w środku, kapitalnie wygląda…

— Przecież nie pojechałeś tam zwiedzać — przerwał mu detektyw, który zwykle chętnie wysłuchiwał podróżniczych ciekawostek dostarczanych przez przyjaciela, ale teraz bardziej interesowały go inne sprawy. — Powiedz lepiej, jak rodzina Ani.

— Bardzo sympatyczna. Ojciec mieszka jeszcze trochę w Opolu, a matka już na stałe w Głogówku, bo się zajmuje babcią Ani. Ona jest raczej taka cierpka. Ania opowiadała, że nie lubiła do niej przyjeżdżać w dzieciństwie, bo jak się babcia zdenerwowała, to na nią krzyczała po niemiecku. Ale w sumie spoko kobieta, zrobiła nam prawdziwego śląskiego kołocza, żebyśmy chodzili z nim po

sąsiadach i tak symbolicznie na ślub zapraszali, jak to kiedyś bywało.

— Rozumiem, że tobie się podobało, a Ance jakby mniej? — domyślił się Przypadek.

— Była wściekła, ale wiesz, że dla mnie tradycja rzecz święta — zapewnił absolutnie serio młody mecenas. — Nie mogłem sobie czegoś takiego odpuścić. A tak w ogóle ten kołocz to pychota, zupełnie niepodobny do naszego. W sensie do kołacza wschodniego. Ten jest płaski zupełnie. Wziąłem dla ciebie przepis, żeby pani Irmina mogła ci go upiec…

— Obawiam się, że przez jakiś czas nie będzie to możliwe — westchnął smutno Jacek, który był absolutnym wielbicielem wszelkich słodkości wytwarzanych przez jego sąsiadkę, panią Bamber. — Wybiera się niedługo w podróż gdzieś bardzo daleko.

— O, a gdzie konkretnie?

— Tego jeszcze nie wiem. Zresztą ona sama nawet jeszcze nie wie, że się wybiera.

— Aha. A ty to już wiesz. To znaczy wiesz, że się wybiera. — W głosie Błażeja nie było nawet cienia zdziwienia. Przez trzydzieści lat zdążył się przyzwyczaić do tego, że jego przyjaciel wiedział o innych ludziach to, czego oni sami nawet by nie podejrzewali. Dlatego Sakowicz junior po prostu ironicznie podkreślił oczywisty dla niego fakt. — Kiedy masz to przesłuchanie u Sapkowskiej?

— Za trzy tygodnie.

— A kiedy wraca Malwina z… Basią?

— Dokładnie nie wiem — przyznał smutno Jacek. — To jest trochę skomplikowane, trzeba załatwić różne formalności. Ale pewnie zjawią się najwcześniej miesiąc po waszym weselu.

— Właśnie, *à propos* tego naszego wesela. — Błażej miał zafrasowaną minę. — Nie wiesz, co się dzieje z Marzeną? W końcu macie być naszymi świadkami, a ona jakby panicznie unikała rozmowy na twój temat. Dzisiaj też, gdy się dowiedziała, że masz przybiec do mnie, wyszła pod byle pretekstem.

— Na dodatek siedzi w kawiarni naprzeciwko i czeka, aż wybiegnę.

— Aha. — Tym razem jednak w głosie młodego mecenasa wyczuć można było pewne zdziwienie. — A możesz mi zdradzić dlaczego? Nie chcę, broń Boże, wtrącać się w wasze prywatne sprawy, ale sam rozumiesz, Marzena jest moją wspólniczką. Wiem, że kiedyś udawała twoją narzeczoną, ale zawsze mnie przekonywałeś, że tak na serio nic was nie łączy. Więc dlaczego…

— To jest jeszcze bardziej skomplikowane niż powrót Basi — odpowiedział Jacek po chwili zastanowienia. — Muszę to sam rozwiązać i nie mogę za dużo o tym mówić. — Głos przyjaciela brzmiał na tyle poważnie, że młodemu mecenasowi

pozostawało tylko pokiwać głową i zakończyć temat stwierdzeniem:

— Jasne. Ale powiesz mi, dlaczego postanowiłeś do mnie przybiec?

— Kiedyś prowadziłeś sprawy dla Polskich Książek i potrzebuję tam kontaktu.

— Ciągle chcesz wydać kryminał swojej mamy? Kontakt mogę ci dać, ale to raczej nie będzie w niczym pomocne.

— Na razie to ja mogę być im pomocny. Dowiedziałem się, że bardzo zależy im na wyciągnięciu z tarapatów faceta podejrzanego o zabicie Eleonory Pahl.

— A, rozumiem. Ty im go wyciągniesz, a oni wydadzą książkę twojej mamy, ten taki retrokryminał o przygodach twojego pradziadka? — domyślił się Błażej.

— Mniej więcej tak. Dlatego dowiedz się, komu najbardziej zależy na wyciągnięciu tego podejrzanego.

— Umówić cię z nim?

— Nie. Ten ktoś musi myśleć, że to jemu powinno bardziej zależeć niż mnie. Załatw mi tylko numer jego komórki.

Podpułkownik w stanie spoczynku Ernest Ciachorowicz włożył klucz do zamka swoich drzwi i dopiero po kilku minutach zorientował się, że go nie przekręcił, wciąż bowiem wpatrywał się w strzępy

policyjnych taśm zabezpieczających mieszkanie naprzeciwko. A tak naprawdę starał się przeniknąć do jego wnętrza, po którym jeszcze niedawno chodziła Eleonora Pahl. Właściwie nie chodziła, ale zwiewnie unosiła się nad podłogą, a każdy jej uśmiech rozświetlał nie tylko przestrzeń między czterema ścianami, lecz także mroki serca pana Ernesta.

— Należało się jej — mruknął pod nosem Ciachorowicz, gdy wreszcie ocknął się z marzeń i przekręcił klucz w zamku. — Nie trzeba było się uśmiechać do tego hebana i wynajmować mu pokoju. — Skrzywił się na wspomnienie przystojnego Kowalskiego.

Pan Ernest wszedł do swojego mieszkania, które ponownie wydało mu się puste i pozbawione jakiejkolwiek treści. Tak jak kilkanaście lat temu, kiedy — na swoją zgubę — przeprowadził się tutaj po śmierci żony. Myślał, że już nigdy więcej nikogo nie pokocha. I z całą pewnością tak by się stało, gdyby nie zamieszkał w sąsiedztwie Eleonory Pahl. To ona sprawiła, że niemal w jednej chwili jego serce zaczęło szybciej bić. Choć był już po pięćdziesiątce, poczuł młodzieńczy wigor i siły witalne, których nie pamiętał od czasu studiów.

Z zadowoleniem zauważał, jak z miesiąca na miesiąc ubywa mu zbędnych kilogramów, choć nie korzysta z żadnej diety ani nie chodzi na siłownię. Miał wrażenie, że nawet siwienie jego włosów się

zatrzymało, albo wręcz cofnęło, i znów jest całkiem atrakcyjnym brunetem. Nie była to zresztą li tylko jego wyobraźnia, bo nawet starzy znajomi z wojska podkreślali, że wygląda, jakby ubyło mu co najmniej kilka lat.

Niestety, wieku się nie oszuka, więc po roku intensywnej znajomości pan Ernest zaczął się czuć jak przekłuty balonik, z którego uszło powietrze. Jeszcze przez miesiąc próbował trzymać fason, choć coraz częściej łapała go zadyszka. W końcu poprosił Eleonorę, żeby nieco zmniejszyli intensywność ich znajomości. Oczywiście nie chciał się przyznać, że tempo jest nieodpowiednie dla jego wieku, zasłaniał się chwilowymi problemami z sercem, ale jego sąsiadka tylko się uśmiechnęła. A potem usłyszał najgorszy wyrok, jaki może usłyszeć mężczyzna z ust ukochanej kobiety. Powiedziała: „Zostańmy przyjaciółmi".

Podpułkownik Ciachorowicz absolutnie się tego nie spodziewał. Na dodatek pani Eleonora nie ukrywała, że miejsce w jej sercu zajął teraz młody student resocjalizacji, któremu za symboliczną kwotę wynajęła odremontowany niedawno pokoik. Dlatego pan Ernest, urażony do głębi, zerwał z nią wszelkie kontakty, a nawet przestał się jej kłaniać. To wtedy, ponad dziesięć lat temu, potłukł ramkę, w której ukryta była fotografia trzymana przez niego w tej chwili w dłoni.

„Boże, co to była za kobieta! — westchnął w głębi duszy, odstawiając na półkę zdjęcie oprawione już w nową ramkę, a jego serce znów zmiękło na wspomnienie sąsiadki. — Z taką to by można było na koniec świata pójść. Gdyby tylko chciała…”

Ale Eleonora Pahl już nie chciała. Po tym jak po roku milczenia zdecydował się wreszcie do niej odezwać, potraktowała go dość chłodno i poczęstowała słowami o „niedojrzałych smarkaczach po pięćdziesiątce”. Zniósł to pokornie, bo przez tych dwanaście miesięcy zrozumiał aż za dobrze, że życie bez choćby przelotnej możliwości ujrzenia jej uśmiechu nie ma dla niego najmniejszego sensu. Godził się więc przez kolejne lata na rolę przyjaciela, który musi opuścić mieszkanie swej ukochanej wtedy, gdy przychodzi ktoś aktualnie zajmujący miejsce w jej sercu, a najczęściej i pokoik, który zwykle wynajmowała studentom. I choć narastała w nim złość, długo nie potrafił się zdobyć na jakiś rozstrzygający krok. Nie upominał się o pieniądze, które podarował jej na zakup paru dzieł nowoczesnej sztuki. A na dodatek dał jej klucz do swojego mieszkania, aby mogła tam wejść zawsze, gdy będzie miała ochotę. I cieszył się jak głupi, że dołączyła go do pęku swoich kluczy, choć nigdy z niego nie skorzystała.

Tak, powinien dawno sprzedać swoje mieszkanie i wyprowadzić się daleko stąd. Teraz, po jej śmierci,

nie jest już w stanie tutaj żyć. Każda chwila w tej kamienicy będzie mu przypominać Eleonorę. Najgorsze, że nie będzie mógł jej zapamiętać żywej, bo wciąż pod powiekami będzie miał obraz jej blond włosów zabarwionych czerwonobrunatną mazią, która wypłynęła z roztrzaskanej czaszki…

Dobrze, że się wtedy opanował, a jako przyjaciel wiedział, gdzie znajduje się najistotniejsza rzecz. Otworzył skrytkę pod blatem biurka i zabrał stamtąd najważniejsze dokumenty. Dzięki temu ten heban zapłaci za wszystko, co zrobił Eleonorze Pahl. Przez niego stała się inna. Wszystkich poprzednich znajomych traktowała bardzo lekko i Ciachorowicz wiedział, że szybko przeminą, a on sam będzie trwał przy jej boku jako przyjaciel.

Lecz z tym Kowalskim sprawa była całkiem odmienna. Eleonora z każdym dniem była coraz bardziej rozdrażniona, wyglądała coraz słabiej i dlatego nawet do Ciechocinka na podleczenie nerwów wyjechała wcześniej niż zwykle. Bała się jednak, że to nie pomoże, bo ten heban podobno używał wobec niej jakichś afrykańskich czarów. Tak przynajmniej twierdziła jego sąsiadka. Wprawdzie Ciachorowicz nie wierzył w żadną magię, ale fakty wydawały się mówić same za siebie…

Pan Ernest wziął do ręki figurkę afrykańskiego bożka płodności stojącą na półce obok zdjęcia pani

Pahl. Sam nie wiedział, po co ją jeszcze trzymał. Zwłaszcza teraz, po śmierci Eleonory. Dobrze, że ci policjanci, którzy przesłuchiwali go po śmierci sąsiadki, nie zwrócili na figurkę uwagi, jeszcze by sobie pomyśleli nie wiadomo co. Ale teraz powinien ją jak najszybciej wyrzucić na śmietnik.

Arnold Niedobijczuk, przychodząc do gabinetu detektywa Przypadka, miał pewne wątpliwości, czy powinien się tu znaleźć. W końcu jeszcze niedawno był to wróg numer jeden ludzi na pewnym poziomie. Niemal wszystkie z nim kontakty groziły środowiskowym ostracyzmem. Irytował całą swoją osobą i zachowaniem, a niektórzy uważali nawet, że to jego ciągłe bieganie i przygotowywanie się niby do startu w maratonie to jakieś kpiny z kultu modnego na salonach biegizmu, walczącego o prymat z cyklizmem.

Wprawdzie ostatnio jakby nie cieszył się już tak fatalną opinią, ale podobno stacja Ekstra TV przygotowywała o nim jakiś wielki, demaskatorski film dokumentalny. Zaczęto szeptać, że „ten Przypadek" znów będzie na tapecie. Na razie nikt nie wydał wyraźnego zakazu kontaktowania się z nim, jednak każda wzmianka o detektywie kończyła się zastrzeżeniem: „Lepiej uważać!".

Dlatego gdyby nie kompletna beznadzieja sytuacji, w której znalazł się Niedobijczuk, z pewnością

wyrzuciłby z komórki lakonicznego esemesa od Jacka, którego treść brzmiała: „Mogę uwolnić Kowalskiego. Czwartek, w samo południe, u mnie, Konecka 40/12. Przypadek". Zamiast tego odpisał niemal natychmiast: „Będę", gdyż nie miał wątpliwości, że jedyną osobą zdolną go uratować jest właśnie bezczelny detektyw. Był przy tym pewien, że zażąda on za swoje usługi niebotycznego honorarium, ponieważ legendy o jego wynagrodzeniu zaczynały się od pół miliona wzwyż. Niedobijczuk miał więc zamiar paść przed nim na kolana i błagać o jakiś rabat albo chociaż o rozłożenie płatności na raty. Nie przyszło mu jednak do głowy, że detektyw zgodzi się pracować dla niego za darmo, za to pod jednym dziwacznym warunkiem. Widocznie tak kochał matkę, że gotów był dla niej na wszystko. Niedobijczuk poczuł nawet przez moment, że ma Przypadka w garści, więc uśmiechnął się bezczelnie, rozkładając ręce w geście bezradności.

— Wie pan, to nie jest takie proste. Pan rozumie, proces wydawniczy trwa, nie wiem, kiedy zdołamy umieścić książkę pańskiej mamy w kalendarzu.

— Ma się ukazać w maju, żeby mama mogła podpisywać egzemplarze na targach warszawskich.

— Pan żartuje? To za dwa i pół miesiąca. Nikt jeszcze tego nie czytał…

— Mama dostała od was odpowiedź, że książka, owszem, nie jest zła, ale w najbliższym czasie nie

macie dla niej miejsca w planach wydawniczych, bo nie rokuje marketingowo. Czyli wiecie, że jest dobra, ale z jakichś powodów nie chcecie jej wydać. Być może dlatego, że autorka jest moją matką.

— To nie tak, nie rozumie pan. Taka odpowiedź jest standardowa, to po prostu grzeczna forma odmowy. Nie chcemy nikomu pisać, że stworzył beznadziejną książkę…

— Czytałem ją i uważam, że jest świetna.

— Pan nie może być obiektywny.

— Ma pan rację. Za to tylko ja mogę błyskawicznie wyciągnąć z więzienia pana Kowalskiego, dzięki czemu pan utrzyma swoją posadę, mogąc zatrudnić dziesiątą osobę o korzeniach afrykańskich.

— Skąd pan o tym wie? — spytał zaskoczony Niedobijczuk.

Jacek zamiast odpowiedzi pogładził swoją kulę jasnowidza, w tej chwili pozbawioną gustownego nakrycia w postaci melonika à la Poirot. Nie musiał zresztą nic mówić, gdyż wiedział, że osoba zatrudniona w wielkiej międzynarodowej korporacji, w której wszelką religię traktuje się jak gusła starszych pań, bez trudu uwierzy w to, że można zobaczyć tajemnicę życia i śmierci w szklanej bańce. Nie pomylił się, gdyż Arnold Niedobijczuk tylko pokiwał głową w zabobonnym strachu i widać było po jego minie, że już nie myśli, iż ma nad detektywem jakąkolwiek przewagę.